№ 36. Warszawa, dnia 24 Sierpnia (5 Września) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak **Tygodnika Mód** jak i **Przyjaciela Dzieci**, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 8, w ciągu roku wydanych zostanie 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

III.

Pierwsze pieśni Brodzińskiego brzmią na ton pobudki wojskowej. Jedne z nich wyśpiewał w obozach, inne pod wpływem świeżych wspomnień; z tych najpopularniejszym był niegdyś poemacik p. t. „Legionista", szczery wyraz uczuć powszechnych z początków tego wieku.

Język naszego poety, jasny, pełen prostoty, dziwnie się zbliża do wiersza Kochanowskiego; czujemy to najlepiej, czytając śliczny przekład elegii łacińskich, w którym odżyły nietylko słowa, ale i dusza Jana z Czarnolasu. Gorąco Brodziński ukochał ten język, z boleścią też opłakuje dobrowolne jego zaniedbanie, w końcu zeszłego i pierwszych latach bieżącego stulecia. „Ten piękny język, mówi on, dziś prawie tylko sługom pozostawiony.

Nie po polsku do swoich ojców mówią dziatki,
Już polki nie rozrzewnia święte imię matki,
Przestała luba dziatwa pieścić mowę dziadów.

Pieśń ta wydała bujny owoc. Podjęła ją zacna Klementyna Tańska i pod jej wpływem, rozpoczęła sześćdziesiąt lat temu przeciw francuzkiemu wychowaniu dziatwy, pamiętną krucyatę, uwieńczoną zwycięztwem.

W ślad za pogardą języka szła i pogarda domowych tradycyi, nie dosyć, że je puszczano w niepamięć, co więcej publicyści ówcześni (jak Witowski, Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia), głosili fałszywą zasadę, jakoby teatr unikać powinien swojskich przedmiotów, snać niezgodnych z wyrafinowanym smakiem, estetyków ówczesnych. Brodziński odpowiada wierszem na tak niedorzeczną teoryę:

Na jakiej ziemi, z jakim ludem żyjesz razem,
Takiego twoje pienia mają być obrazem;
Niech inni opiewają arkadyjskie gaje,
Krwawe brzegi Skamandru i Saturna kraje,

Ty ceniąc wszędzie piękność, opiewaj twą ziemię,
Wspólne czuciem w przygodach i zwyczajach ple-
[mię,
Zagrody, gdzie młodości ubiegły ci lata!
...Ziemię na której złożysz uznojoną głowę,
Która grób twój umai w gałązki świerkowe,
Maluj to morze kłosów, pod skałami Tatrów,
Z skromnym gnące się skarbem przed wściekłością
[wiatrów;
Wiecznie zielone bory, zbożo-spławne rzeki,
Stado błądzące w polach, sady i pasieki,
Ruiny, smutne świadki dawnej przodków chwały,
Mogiły co tysiące dzielnych pogrzebały;
W ziomkach ucz się znać ludzi, w nich czerpaj
[natchnienie,
Ich uczuciem wzburzone im poświęcaj pienie,
Tego dzieła są drogie i chwała nie płocha,
Kto zna kraj jak Krasicki, jak Niemcewicz kocha.

Kiedy z jednej strony Brodziński, pieśnią porusza serca ziomków, z drugiej strony występuje jako głęboki myśliciel, odczuwa nowe prądy wieku, prądy, które miały do gruntu wstrząsnąć duchem europejskich ludów, rozkuć go z więzów rutyny i z głębin jego wydobyć nowe ożywcze zdroje. Jednym rzutem oka, myśliciel nasz przeniknął znaczenie romantyzmu, odgadł w nim odradzającą się potęgę, odgadł myśl, która w kilka lat potem, wydobyła słynny wykrzyk z piersi genialnego wieszcza:

Dalej z posad, bryło świata,
Nowemi się pchniemy tory,
A spleśniałej zbywszy kory,
W zielone zakwitniesz lata.

I gdzież było szukać tej wiosennej zieleni, porosłej kilkowiekową pleśnią? Zrozumiał to Brodziński, wychowany w pośród wieśniaków, przyłożył z miłością rękę do ich serca i odczuł w niem żywotne tętno tradycyi domowych. W rzewnych zwrotkach Mazurów i Krakowiaków, w żałosnych dumkach Haliczan i Podhalan, błysnął mu świat poezyi ludowej, to wesołej to smętnej, a zawsze pełnej barwy, ściśle zespolonej z przyrodą, tchnącej wonią żywicznych lasów i swojskich macierzanek, a zawsze i rytmem i słowem, sięgający gdzieś w nieskończoność. Tu odkrył czystą krynicę, w której miała się odrodzić poezya narodowa. Zobaczmy tylko jak ją określa w rozprawie ogłoszonej w roku 1818, o „Klasyczności i romantyczności", w pierwszym przedświcie kiełkującej idei.

„W czyjem sercu obraz natury nie obudza rzewnych wspomnień, mówi Brodziński, kto nie chce postawić się w sercu człowieka każdego wieku i stanu, by dzielił z nim niewinność, tęsknotę, smutek, wesele, dla takiego obcą jest romantyczność!"

Azaliż nie to samo, w kilka lat później, określił Mickiewicz znanem słowem: „Miej serce i patrz w serce!"

Wielu z krytyków naszych, widziało w romantyzmie same nieomal uniesienia miłosne, lub dziwne schadzki upiorów po cmentarzach; nie tak zrozumiał rzecz Brodziński. U niego romantyzm, to potężna dźwignia, co drogą literatury, odrodzić musi społeczeństwo. Posłuchajmy jak ten mądry przewodnik, nakazuje sądzić ten nowy objaw, w dziejowem życiu naszem.

Rzecz dziwna! jeśli Warszawa odrazu pojęła Brodzińskiego, czego dowodem powołanie go na profesora, zaraz po ukazaniu się rozprawy, inaczej było w Wilnie. Rozprawa ta wywołała silną protestacyą ze strony Jana Śniadeckiego. Uczony rektor uniwersytetu wileńskiego, potępia stanowczo romantyczność, jako zgubną dla literatury, gdyż wprowadza umysł na bezdroża, odrywa smak od piękności greckich i rzymskich, jakoby od foremnie strzyżonych ogrodów, przekładając nad nie bujne stepy i zarośla azyatyzmu!" Uciekajmy od romantyczności, dodaje nieprzebłagany krytyk, jako od szkoły zdrady i zarazy. Szanujmy od dwóch tysięcy lat przepisane nam prawa, które potwierdziła prawda i doświadczenie, bądźmy im posłuszni, one bowiem wydały tak wielkich ludzi, jakich jeszcze nie wydała i podobno nigdy nie wyda romantyczność."

Pytamy tu, dlaczego ta ostra krytyka, drukowana w kilka miesięcy po rozprawie Brodzińskiego, lubo wywołała bezimienną protestacyą w „Pamiętniku", nie rozbudziła przecież wrzawy literackiej, jak w dziesięć lat później, walka Mickiewicza przeciwko krytykom warszawskim? A przecież Śniadecki, ostrzej chłoszcze nowatorstwo, niż najzawzięţsi krytycy warszawscy. Sam ogół, obojętnie jeszcze spoglądał na tę sprawę. Romantyczność była u nas oderwaną od życia abstrakcyą, a echo jej dobiegało zaledwie z Niemiec i dalekiej Anglii. Brodziński uczuł pocisk, ale cichy i nie skłonny do polemicznych sporów, postanowił odpowiedzieć w inny sposób. Wyśpiewał wtedy Wiesława, uroczą powieść wysnutą z życia wieśniaków krakowskich i cały naród pochwycił nią za serce.

Nie wiemy jak rektor wszechnicy wileńskiej przyjął tę wymowną odpowiedź, w pismach jego nie znajdujemy wzmianki o Wiesławie; może być, że nie znalazłszy w poemacie upiorów, ani czarownic, nie dopatrzył w nim romantyczności, którą tak surowo potępił, jako szkołę zdrady i zarazy.

Nie będziemy tu rozbierać tej ślicznej powiastki, znana bowiem powszechnie. Znamy zarówno „Czerniaków", cudny obrazek rodzajowy, wzięty z życia Warszawian. Wyobraźmy sobie, jaki przewrot w pojęciach o poezyi sprawić musiał, sześćdziesiąt lat temu, w czasach Dafnisow i Korydonów, ten obrazek pełen prawdy i prostoty, świadczący przykładem, jakie to skarby poezyi, wydobyć może z rzeczywistego życia, ten kto ma serce i patrzyć umie w serce. Weźmy oto początek:

Pogodna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa;
Szły obok matek strojne dziewoje,
Szły i za niemi młodzieńców roje,
A ja sam byłem, bo dotąd strzała,
Mojego serca nie dotykała,
Jeszczem nic nie pił z miłości zdroju,
Okrom tęsknoty i niepokoju.

Niech więc weseli idą szczęśliwie,
Ja szedłem miedzą po żytnej niwie,
I smutny byłem, bo szedłem prawie,
Jak ów robaczek błyszczący w trawie,
Aż dwie niewiasty widzę na łące,
Tą samą ścieżką co ja idące.

Była to matka z córką przy boku,
Jednej łagodność jaśniała w oku,
A druga skromna, urocza, młoda,
Tak miła jako w Maju pogoda.
Za ukłon, ukłon ujrzałem miły,
I słówkiem słodkiem wynagrodziły;
Szedłem, mówiłem, mówiły do mnie,
Matka łagodnie, a córka skromnie!

Wychowany między ludem wieśniaczym, Brodziński umiał dostroić lirę swoją do rytmu ludowych pieśni naszych i wskazał na przyszłość drogę poetom, gdzie mają szukać samodzielnej i niezużytej formy. Uczynił w poezyi toż samo, co Szopen wykonać miał w muzyce. Oto piosenka, godna zaprawdę, Szopenowskiego mazura:

Lecisz miły ptaszku, przez olszowe gaje,
Wyśpiewaj mi przecie, gdzie mój Jaś zostaje.
Weźże te fijołki przezemnie zerwane,
W rosie ich szukały oczy zapłakane!
Zanieś mu je w dziobku, kędykolwiek będzie,
Powiedz, że go, tęskna, gonię pieśnią wszędzie.
Ale ptaszek leci po świerkowym lesie,
Do cichego gniazdka piórko w dziobku niesie,
Leci do swej miłej i radość go poi,
Nie dziwi się płaczom i tęsknocie mojej.

W tych rzewnych piosenkach widzimy jak gorąco poeta nasz ukochał lud wieśniaczy, oto jedna na próbę:

Dobry polski chłopek,
Dłoń jego obroni;
Wyżywi nas snopek,
W potrzebie zasłoni.

Z wołkiem on w pokoju,
Uprawia nam błonie,
Na koniku w boju;
Pośpiesza w obronie.

Te czarowne grody,
Te pańskie pałace,
Jego-to zachody,
I jego-to prace.

W pomoc kraju bieżał,
Z panami w ich ślady,
Wszędzie on należał,
Krom zysku i zdrady.

Pieśń ta obok wielu innych, przebiegała z ust do ust, z melodyą Kurpińskiego i roznosiła po kraju imię poety. Lekcye literatury, jakkolwiek nie ściągały takich tłumów, jak błyszczące Osińskiego wykłady, poruszały głęboko młodzież uniwersytecką, budząc w sercach miłość literatury narodowej. Cichy pracownik duszą był wszystkich zebrań, ożywiał wszelkie działania, dodawał im podniety. Szczery przyjaciel Klementyny Tańskiej, pomagał jej w wydawnictwie „Rozrywek", pisał dla dziatwy pełne życia obrazki rodzime. Pod jego-to wpływem, autorka nasza powzięła myśl do powieści z życia Jana Kochanowskiego, z nim razem nakreśliła plan dzieła, które później miała tak uwieńczyć literacki jej zawód.

Ilekroć Towarzystwo Przyjaciół nauk, czciło którego z zasłużonych w kraju pracowników, Brodziński pięknym wierszem, uświęcał uroczystość. W ten sposób uczcił Kopczyńskiego, w dniu kiedy mu wręczono medal za pierwszą gramatykę polskiego języka. Inną pieśń wyśpiewał w hołdzie Lindemu. Kiedy wielu niedowierzało, aby Linde sam ułożyć mógł olbrzymi słownik, Brodziński nie

wątpił o tem ani chwili. Po wyjściu na świat sześciotomowej pracy, poświęcił mu piękny wiersz, nazywa go nowym Eneaszem, jak tamten z płonącego Ilionu, uniósł na barkach ojca i bogi domowe, tak wielki nasz filolog, uniósł język, drogą puściznę gromadzoną przez wieki. Wiedział poeta jakie cuda miłość spełnić może, wyrzekł też z głębokiem przekonaniem:

Jako ożywcze słońce swym promieniem,
Z głębi ziemi wyciąga niebotyczne drzewa;
Tak kogo boskim płomieniem
Miłość nauki zagrzewa,
Ten czując natchnienie święte,
Spełni cuda niepojęte.

Poeta nasz nie szukał rozgłosu, znalazł go jednak nie tylko w Warszawie, lecz i w dalekich stronach. Pieśni jego rozbiegły się od Wisły, po Niemen i progi Dnieprowe. Pochwycił je nasz Bohdan Zaleski, słowik ukraiński i poił się słodkim ich czarem. Słyszeliśmy z ust czcigodnego poety, o pierwszem spotkaniu się z Brodzińskim, ośmielamy się powtórzyć jego słowa. Było to w roku 1820. Śpiewak cudnych dumek ukraińskich, przybył po raz pierwszy do Warszawy z autorem zamku Kaniowskiego. Zaledwie że stanęli w domu zajezdnym na Krakowskiem Przedmieściu, niecierpliwy Bohdan Zaleski, zdając na Goszczyńskiego domowe sprawy, biegnie co tchu, powitać miłego mu poetę. Nie wie sam gdzie go szukać, nie zna wcale Warszawy. To go nie zraża. Spotyka na ulicy ucznia uniwersytutu, widzi to po mundurze, zatrzymuje go, pyta gdzie mieszka profesor; odbiera wnet odpowiedź:

Brodziński poeta,
Przy ulicy Freta,
Wnijdź w podwórza wnętrze,
Tam na pierwszem piętrze.

Biegnie Bohdan Zaleski w wskazanym kierunku, bada przechodniów, dociera nakoniec na miejsce. Z bijącem sercem kołacze we drzwi, zastaje poetę przy stoliku, pracującego nad korektą. Chciałby wypalić uroczystą mowę, ułożoną w podróży, ale słowo zamiera mu na ustach. Serdeczny uścisk wymownie zastąpił oracyą. Parę godzin zbiegło im w oka mgnieniu. Czas Bohdanowi Zaleskiemu wracać, co powie Goszczyński? ale otóż i nowy kłopot. W gorączkowym pośpiechu, nie spojrzał na dom w którym stanął. Jak tu pytać przechodniów, skoro nie wie jak nazwać ulicę? Biega tu i tam, wlepia oczy... naprózno. Spotyka wreszcie jakiegoś poważnego pana w kontuszu. Ten widząc zakłopotanego młodzieńca, pyta uprzejmie co go tak niepokoi? Poznawszy rzecz, śmieje się, ale bierze go pod opiekę, wsiada z nim do dorożki; objeżdżają pomału główne ulice; wreszcie błysły Bohdanowi Zaleskiemu wieże świętokrzyzkiego kościoła.

— To tu gdzieś niedaleko! — zawoła uradowany — przejeżdżając od mostu, uważałem ten kościół. W tejże chwili spostrzega na trotuarze Goszczyńskiego. Skończył się kłopot, a co więcej Bohdan Zaleski znalazł w opiekunie znowu szczerego przyjaciela, z którym ścisłe złączyły go stosunki. Był-to niejaki Buczyński, obywatel ziemski zamieszkały w Warszawie.

(Dokończenie nastąpi.)

NAUKA IDZIE W LAS.

(Przypowieść grecka.)

—

„Człowiek, co kształcąc ducha zdrowych myśli szuka,
Strzedz winien: zdrowia ciała argusowem okiem,"
Tak brzmiała Sokratesa praktyczna nauka,
Gdy w gaju z gronem uczniów przechadzał się zmrokiem.

„Pollusie! przezroczyste twej tuniki zwoje,
Pokryj gęstszą tkaniną perskiego wyrobu;
Bo chłód wieczorny zstąpił na powierzchnię globu,
I podmuchy Eola mrożą piersi twoje!"

A Pollus rzecze: „Mistrzu! próżne twe morały!
Choć wdzięcznym za przestrogę, słuchać jej nie będę,
Bom duszę w olimpijskie wtopił ideały!"
Zaś w myśli dodał: „Styksie! pochłoń tego zrzędę!"

Łza żalu zaświeciła pod mistrza powieką,
Gdy zrozumiał jak uczeń z dobrych rad korzysta,
I spytał, w przyszłość jego spojrzawszy daleką:
„Filozof z niego będzie, czyli też sofista?"

Emilia.

SKARB.

Kartka z podróży,

NAPISAŁ

F. K.

—

Henryka Stalewskiego, niegdyś towarzysza ze szkolnej ławy w Piotrkowie, spotykałem często w życiu; zawsze jednak w kilkoletnich odstępach czasu i zawsze w różnych częściach świata.

Gdy najmniej spodziewałem się, choćby tylko usłyszeć coś o nim, los figlarz stawiał nas z sobą oko w oko; często nawet w dość romantycznych okolicznościach.

Jeden gorący, serdeczny uścisk ręki, ciche: do widzenia bracie, czasem wieczór spędzony na pogawędce i znów, traciłem go z oczu niespodziewanie.

Henryk należał, jak sądzę, do tego rodzaju ludzi, którzy nigdzie długo nie zagrzeją miejsca. Jakieś *fatum* ciężyło na życiu biedaka, niepokonana siła rzucała nim jak piłką, przenosiła z miejsca na miejsce.

Podczas, gdy inni, umieli wyrobić sobie jeżeli nie zupełnie niezależne stanowisko, to przynajmniej kąt i ciszę do pracy, Henryk błądził ciągle po świecie; bywał często, jak to mówią: na wozie; najczęściej jednak... zupełnie pod wozem.

A jednak nie zbywało mu ani na energii, ani na silnej woli i mocy charakteru. Do czego jednak wziął się, mimo usiłowań, obracało się w niwecz; rzeczy, jakie innym szły jak z płatka, jemu były zawsze nieprzepartą zawadą, rodzajem zapory o którą rozbijały się najlogiczniej obmyślane plany, najpozytywniej, ze zbadaniem wszelkich za i przeciw, powzięte zamysły.

Raz spotkałem go w Wiedniu, promieniącego radością.

Przechadzał się po Praterze, ze swą wieczną cygaretką w ustach, z trochę drwiącym uśmiechem, chłodny, obojętny na wszystko jak zawsze.

Ubrany według ostatniej mody, ale bez przesady, tej właściwej nicponiom cechy, powitał mię wesoło.

— Cóż tu porabiasz? spytałem. Sądziłem że jesteś w Szwecyi.

— Byłem tam niedawno, lecz właśnie otrzymałem wezwanie do Jass i jutro wyjeżdżam tam przez Budapeszt.

— Do Jass? a tam poco?

— Bankier Wildner, którego poznałem przed rokiem w Paryżu, potrzebuje korespondenta. Wiedząc że posiadam jako tako kilka cywilizowańszych języków ziemi, ofiarował mi bardzo korzystne miejsce w swych biurach, bo pięćset franków miesięcznie, zwrot kosztów podróży i 1% z czystego zysku wszystkich operacyi.

. . . .

Istotnie, szczęśliwiec opuścił nazajutrz naddunajską stolicę, udając się do Rumunii.

Cóż z tego?

W niespełna trzy miesiące, spotkałem go w Monachium, znów w wigilię objęcia bardzo korzystnego stanowiska.

— Dla czego jednak nie jesteś w Rumunii, u twego... Wildnera, czy jak go tam zowią?

Ruszył pogardliwie ramionami.

— Znasz moje szczęście? odparł rzucając dogasającą cygaretkę i zapalając natychmiast nową.

— Trzeciego dnia po moim przyjeździe do Jass, przyszły chlebodawca zbankrutował zupełnie.

— Ach!... rozumiem.

— Nie rozumiesz, kochanie. Zbankrutował istotnie. Zaangażował swe kapitały w jakiemś przedsiębiorstwie na wielką skalę... rada zarządzająca ulotniła się i mój dobroduszny Szwed został z dwudziestoma tysiącami franków w kieszeni. To nic jednak! dodał wesoło. To nic! ale teraz, to mi się z pewnością uda.

— Czy znów posada w jakim banku?

— Nie; tym razem, jeden z naszych rodaków, człowiek przepoczciwy...

Przerwałem mu dość drastyczną uwagą niedowierzającą.

— Mylisz się, Zygmuncie! zawołał niemal oburzony. To człowiek nieposzlakowanej prawości...

Nadszedł jakiś mój znajomy i rozłączyliśmy się.

. . . .

Po roku już, los, w teatrze opery w Berlinie, posadził mię w krzesłach obok Henryka.

— A to sławne przedsiębierstwo i ów twój człowiek przepoczciwy? spytałem drwiąco trochę.

Tym razem, biedak zbladł bardzo... usta zaczęły mu drgać febrycznie.

— Udaję się, odrzekł, za dni trzy do Paryża... doskonałe literackie przedsięwzięcie.... *Dziennik uniwersalny*... potrzebują człowieka znającego słowiańskie języki i trochę... literata, szepnął, widocznie nie chcąc mówić o przeszłości.

— Czy cię tam wezwano?

— Lepiej jeszcze, mój drogi! Posłano mi odrazu przekaz na pięćset franków, na koszta podróży.

Byłem niemal pewny że znów wiatr przeciwności rozwieje złudzenia mego przyjaciela; nie miałem jednak serca do zrobienia jakichbądź uwag.

— Jestem bardzo szczęśliwy że się tak wszystko ułożyło, dodał jeszcze. Tam będę przynajmniej w mojem żywiole, gdyż wiesz, iż byłem zawsze kawałkiem.... literata.

Rzeczywiście, Henryk miał wielkie zdolności— pisał poprawnie w kilku językach ale... zgubiło go

lub zagrodziło drogę do przyszłości na tem polu, właśnie to, co by go u innych narodów tylko wywieść mogło z tłumu, na obszerniejszą widownię życia.

Henryk przy całym swym talencie miał jedną dę nie do wybaczenia.

W życiu, wyrobił sobie stałe na wszystko poglądy; niewzruszone zdanie i pewne niezupełnie przypadające do smaku prasy przekonania.

Wada podobna, cnotą się staje i może do czegoś doprowadzić pisarza, jeżeli posiada niezależne stanowisko i niepotrzebuje żyć z pióra.

Niejednokrotnie mawiałem Henrykowi: urządź się najpierw tak, abyś niepotrzebował niczyjej łaski w życiu. A wtedy dopiero, gdy będziesz miał chleb powszedni a i placuszek odświętny, na długo przynajmniej, jeżeli nie na zawsze zapewnione, wystąp z własnem zdaniem, wypowiedz otwarcie twe zapatrywania. Poglądy i przekonania ludzi gołych, to piękna kareta, którą właściciel w braku koni sam popycha. A czy daleko w ten sposób zajedzie? Zakrzyczą cię, zakraczą, zjedzą nawet nie w kaszy, lecz prosto, rozszarpią na kawałki... i upadniesz w walce bez chwały i bez sławy, zapomniany jutro, a co gorzej... ośmieszony. Wtedy co będzie?

II.

Zbliżyły się pamiętne dla Francyi lata 1870 i 1871.

Huragan ognia i żelaza przeleciał przez ziemię Joanny d'Arc, jak Simum po stepach Algieru.

Już podczas pierwszych niepowodzeń, kirasyerzy pod Reishoffen uwiecznili się, jak ongi kirasyerzy pod Waterloo.

Tam, rusznice Higlandów wystrzelały heroiczną kohortę, jak tu iglicówki prusaków i poznańczyków.

Była to pierwsza gwiazda, meteor iskrzący na chmurnem niebie ogólnej niedoli.

Promień słońca, śród burzy obcego najazdu.

Drugim była obrona Orleanu i szturm do zamku Bacon, w dzień walki po Coulmiers.

Von der Taun, dowiedziawszy się, że i obronę i szturm urządzili... polacy, mruknął tylko przez zęby: *das habe ich mir gleich gedacht! Verfluchte Teufelskerle!* (*) i dał... nura.

Trzecim, reduty pod Mars-la-Tour.

Czwartym, wyliczamy do znudzenia, obrona Dijonu.

Piątym nareszcie, najcudniejszym promieniem: szczytna obrona Belfortu.

Pułkownik Deufert de Rochereau, proszony o poddanie twierdzy za wynagrodzeniem miliona talarów, odparł agentowi te tylko słowa:

— Dajecie milion, abym wam poddał Belfort? No, ja wam dam dwa miliony, jeżeli ją zdobyć potraficie.

. . . .

Otóż jesteśmy w Belforcie, w słynnym siódmym forcie ostatniej linii obrończej.

Jeżeli numer 7 wpadnie w ręce prusaków, poddanie miasta będzie nieuniknione.

Niemcy też wytężają wszystkie siły na dokonanie tego.

Ale bastyon ma trzydzieści dział odtylcowych i batalion liniowy 18-go pułku do ich obrony.

Batalion ten, zdziesiątkowany jest, to prawda; z oficerów został mu tylko jeden porucznik, zwany pospolicie, dla swego trudnego do wymówienia nazwiska: „porucznikiem Henrykiem", ale garstka ta błądziła niegdyś lata całe po stepach w Algierze, przywykła do niewygód i obozowego znoju, niewzruszenie stawia czoło wrogowi.

Całe szeregi nieprzyjaciół zmiatają luzem w działa nakładane kartacze; wdzierających się już na okopy, wita morderczy ogień karabinowy batalionu, strzelającego jak do celu, na mustrze z ogniem.

Werder szaleje z wściekłości, ryzykuje nawet parlamentarza.

Czerep granatu powalił komendanta bastyonu, sztab jego leży na mchu i słomie w improwizowanych kazamatach, jeden tylko porucznik Henryk, cały jeszcze, z wieczną cygaretką w ustach, podkręca wąsa i małym grzebykiem rozczesuje kruczą brodę.

Damy tyle a tyle za poddanie bastyonu! mówi parlamentarz, za którym dwóch hułanów na koniach, mają pełne sakwy srebrnych talarów, bitych, jak mówią poznańczycy.

Porucznik ani mrugnął nawet, poczęstował tylko, z flegmą, cygaretką parlamentarza.

— Nie odpowiem tak, jak odpowiedział w podobnych okolicznościach mój pułkownik w mieście, bo to byłoby... odgrzewane ale wprost oświadczam, iż dlatego, rozstrzelać pana nie każę, że do takich błaznów się nie strzela. Żegnam pana.

I odwrócił się od handlarza.

* * *

W godzinę, przypuszczono ostatni szturm do reduty.

Niemcy, tracąc setki ludzi, obeszli bastyon, zasypali z tyłu przykopy i usadowiwszy się o kilometr od niego tylko, z dwudziestu dział zaczęli granatować francuzką pozycyę.

O drugiej po południu, gdy trzy czwarte armat bastyonu zamilkło pogrzebane w gruzach, zniszczonych pociskami wałów, czarne masy wroga runęły na numer 7, z wrzaskiem „hurra!" i śród ogłuszającego bicia bębnów i pisku odstrojonych trąbek.

Mordowanie się na bastyonie trwało tylko kilka minut.

Garstka obrońców znikła w żywej lawinie, zasypującej ją zupełnie.

A potem?

Bastyon numer 7 wyleciał w powietrze z nieprzyjacielem.

W Paryżu, w roku 1881, szukając jednego z mych znajomych, przy ulicy Cyrkowej, w bramie domu do którego chodziłem, spotkałem... Henryka.

Z gazet, słyszałem coś o heroizmie bastyonu pod Belfortem, sądziłem zatem, że jestem tylko igraszką niesłychanego podobieństwa nieboszczyka ze spotykającym mnie człowiekiem.

Mniemany jednak nieboszczyk porwał mnie w ramiona.

— Czy być może? Henryk?...

— On sam, Zygmuncie! i prosi cię na obiad odrazu.

— Tu mieszkasz?

— Tak i... jadam u siebie.

Czyżby Francya, wywdzięczając się za oddane jej usługi... obdarzyła go kucharką?

Jadać u siebie, to znaczy mieć koniecznie kogoś co gotuje, lub kogoś co obiady z café-réstaurant przynosi. Głównie zaś, znaczyło, mieć pieniądze.

Zresztą, przy ulicy Cyrkowej, najskromniejszy apartament, choćby na czwartem piętrze, kosztował rocznie ze 2,000 franków.

Więc Henryk przestał być gołym, miał prawo mieć własne swe poglądy... więc już kamieniem na niego nie rzucam?

Podczas, gdy te wszystkie uwagi przebiegały mi po głowie, Henryk, jakby pojmował co się we mnie działo, rzekł:

— Wszystko ci opowiem... jeżeli masz czas, to zaraz...

Wydobył zegarek... zegarek prawdziwy, do tego złoty i nakręcany bardzo szykownie, za uszko.

— Teraz 4-ta dopiero; jadamy o 6-tej, pójdziemy tedy na Wermouth i pogadamy o wszystkiem.

Skinął na przejeżdżający kabriolet.

— Café de la Régence! — zawołał do woźnicy.

* * *

Usadowieni w kącie pierwszego saloniku, na prawo wejścia, pod oknem, zaczęliśmy obsypywać się wzajem pytaniami.

— Ale do rzeczy, Henryku! wyznam ci, że drżę z ciekawości. Taka zmiana, takie cudowne ocalenie.

— Eh! co tam było cudownego! Ot prosty zbieg okoliczności. A może też losowi znudziło się prześladować mnie tak uparcie. Ale posłuchaj, dam ci streszczenie wszystkiego, gdyż nie lubię czczej gadaniny.

Po rozstaniu się z tobą w Berlinie, kołysany złotemi marzeniami o lepszem jutrze, kuryerskim pociągiem pogoniłem w stronę Paryża.

Los w postaci konduktora umieścił mnie w oddziale pierwszej klasy, zajętym już przez dwie damy. A uważaj, że nie mówię... niemki, lecz wprost damy. Istotnie żadna z nich nie miała tej słodko kwaskowej miny, tak właściwej jasnowłosym westalkom z nad Sprei. Jak dowiedziałem się potem, były to dwie Paryżanki: matka i córka. Matka ot jak zwykle wszystkie prawie matki dorosłych córek, chodząca katarynka, z której za każdem potrąceniem korby, wybiegała ckliwa melodya na temat bogatego i dobrze urodzonego zięcia. Dziewczę siedząc w wagonie, smutne, ze zwilżoną łezkami chusteczką w rączce, było bardzo ładne. Piękność w kobiecie, to rzecz niezmiernie względna, rzecz smaku. Moja czarnooka, o delikatnej twarzyczce i ciemnych bez połysku włosach, spodobała mi się niezmiernie. Na szerokiem czole spoczywała inteligencya; usteczka wązkie, ale wypukłe, purpurowe, zapowiadały niezłomną wolę. Odbijała się ona i w spojrzeniu, które choć teraz przymglone, rzucało od czasu do czasu błyskawice. Na mój widok, skrzywiły się trochę obie; liczyły zapewne, że podróż całą a przynajmniej część jej odbędą same. Tak ubiegło chwil kilka, aż matka dobywszy zegarek spojrzała nań i zapytała mnie po francuzku, czy dobrze idzie? Przyszła mi oryginalna myśl, udania, że nie rozumiem wcale ich mowy. Otworzyłem tedy oczy jak mogłem najszerzej i spytałem po niemiecku, czem jej służyć mogę?

— Ah! pan nie mówisz po francuzku? — rzekła w haniebnej niemczyznie.

— Ani słowa, pani. Nie miałem dotąd sposo-

(*) Zaraz domyśliłem się tego! Przeklęte dyabelskie wyrzutki.

bności nauczyć się tego języka, lecz właśnie jadę do Paryża.

Na tem urwano rozmowę. Dostrzegłem jednak, że dziewczę spogląda na mnie z pod oka.

— To dziwne — rzekła nagle półgłosem do matki. —Ten pan zdaje się być niemcem a jednak wcale na niemca nie wygląda.

— Prawda! — odparła matka. — Ani rysy twarzy, ani głos, ani obejście nawet.

— Wchodząc do przedziału uchylił kapelusza, nie czuć go fajką i nie zaklął jeszcze ani razu.

— Są wyjątki! — odparła filozoficznie stara kobieta. — Tem lepiej jednak, że nic nie rozumie, będziemy mogły rozmawiać swobodnie.

Dziewczyna pobladła lekko na te słowa.

— Mama znów chce mnie dręczyć tem obrzydłem małżeństwem!

— Liczę, że przecie głos rozsądku zwycięży, moja Blanko.

— Głos rozsądku, prawda, ale nie głos rachuby.

— Wiesz, że jesteśmy zrujnowani, mówię otwarcie, a Margrabia ofiaruje wykupić nasze dobra...

Blanka poruszyła się niecierpliwie.

— Najpierw, niech mama pozwoli, że i ja powiem... otwarcie co wiem i co myślę. Zrujnowani nie jesteśmy bynajmniej, gdyż po zlikwidowaniu pozostanie jeszcze rodzicom sześć tysięcy franków rocznej renty, co jest na życie dostatnie aż nadto wystarczającem. Co zaś do...

— Co też ty mówisz, dziewczyno! — Przerwała starsza kobieta. — Samo utrzymanie koni i woźnicy, więcej niż dwa razy tyle wyniesie.

— Będziemy chodziły piechotą! — odparła chłodno i cierpko Blanka.

Matka poruszyła się na poduszkach niecierpliwie.

— Dziecinną jestem, że rozmawiam z tobą o podobnych sprawach. Margrabia de Morranne oświadczył się o ciebie, i ja i ojciec twój przyjęliśmy go i za miesiąc tedy będziesz jego żoną.

— Nigdy!

— Tak, albo wstąpisz do klasztoru.

Dziewczęciu po twarzy przebiegły płomienie.

— Udam się pod opiekę prawa! — rzekła spokojnie, hamując się widocznie. — Tak, udam się pod opiekę praw, które i rodzicom zabraniają samowolnie więzić dzieci. Gdybym się dozwoliła sprzedać margrabiemu, świat cały i on pierwszy, mieliby prawo pogardzać mną, jak się zwykle gardzi kobietą nieszanującą swej godności.

— Więc wolisz widzieć nas w nędzy?

— Sześć tysięcy franków rocznego dochodu, to majątek... a ja będę pracować na moje utrzymanie. Posiadam języki, muzykę...

— Wykniemy cię, wyrodna!

Uśmiechnęła się spokojnie i patrząc wprost w twarz matce, rzekła:

— Ale pobłogosławi mnię... Bóg; choćby tylko za to, żem nie sponiewierała Jego świętych darów, żem oparła się zostać towarem na sprzedaż wystawionym.

Słuchałem tej dziwnej rozmowy istotnie zdumiony. Dzielna dziewczyna!

W kobietach, nauczyłem się przedewszystkiem cenić samodzielność; takie żyją i myślą.

Stara, wcisnęła się w kącik wagonu, przy oknie, szepcząc przez zęby:

— Nie mam już córki.

Ale dziewczę ochłonęło już z uniesienia, choć głos jej był na pozór spokojny.

Ujęła rękę matki nachylając się ku niej:

— Nie gniewaj się, mamo! — rzekła pieszczonym głosikiem. — Przecież po za zbytkiem, po za pałacem, brylantami i służbą, są jeszcze inne ważniejsze, świętsze rzeczy w życiu. Z margrabią nie byłabym szczęśliwą, już dla samej różnicy wieku. Ja mam lat ośmnaście a on z górą pięćdziesiąt...

— Właśnie dlatego, że stary i schorowany, zostawi cię już bardzo prędko może wdową...

. . . .

Ah! jakąż miałem chętkę otworzyć drzwiczki i wyrzucić tę miłą mamunię na dachy wioski, która głęboko w dole migała przed memi oczami.

Krok ten jednak byłby nieparlamentarny, poprzestałem więc na gwałtownem otworzeniu okna i wychyleniu się zeń na zewnątrz, aby nie słyszeć tej oburzającej sceny.

Poruszenie moje było tak nagłe, a kto wie, może i na twarzy mej zarysowały się miotające mną uczucia, dość, że piękna Blanka, mieniąc się cała, spojrzała na mnie uważnie.

Spojrzenie to pochwyciłem w locie, spojrzenie badawcze.

Tymczasem matka, wypowiadała dalej rozpoczętą litanię, kończąc ją wykrzyknikiem, który mimo trajkotu pociągu, pędzącego z chyżością 70 kilometrów na godzinę, wybornie usłyszałem: *więc chyba kochasz innego?*

Odpowiedź dziewczęcia była dla mnie rzeczą arcy ważną.

Dziwnym zbiegiem okoliczności trafiłem po tylu latach, odrazu na kobietę, co zdawała się gardzić i milionami i koroną margrabiego, co mówiła wręcz i otwarcie: nie jestem do zbycia, bo jestem kobietą, a nie towarem.

Nadstawiłem tedy uszy, podając się lekko w tył, ku wnętrzu przedziału.

Piękna nieznajoma usłyszawszy przytoczone powyżej słowa, zapytała spokojnie:

— A gdyby i tak było?

— To znaczy, że tak jest, prawda? Ale w takim razie, nie licz na nas! Jeżeli nie wyjdziesz za pana de Morvanne, nie będziesz niczyją... ręczę ci za to...

Wstrząsnęła lekko śliczną swą główką.

— Nie, mamo! dotąd, nie kocham nikogo! Jeżeli jednak pokocham, a ten ktoś będzie godnym mego przywiązania, to mu oddam swą rękę z pewnością.

— Miej przynajmniej wzgląd, że nie jesteśmy tu same... ten pan...

— Przecie mama wie, że nie rozumie ani jednego wyrazu...

. . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z DZIENNIKA
GORDONA BASZY.

W odległym Sudanie, po za granicą śladów jakiejkolwiek cywilizacyi, w kraju, którego ludność jęczy od wieków pod jarzmem przemocy, krwawy rozegrał się dramat. Chartum nad Nilem stało się widownią ostatniego aktu, Gordon zaś i Mahdi bohaterami walki, od której zawisły losy krajowców.

Dzieje tej walki są w wielu szczegółach osłonięte do obecnej pory niezbadaną tajemnicą.

Cały rok trwało oblężenie, przez długie tygodnie i miesiące mieliśmy ztamtąd od czasu do czasu wieść głuchą, niepewną, a przeróżne niepotrzebne dodatki nie przyczyniały się wcale do jej wyjaśnienia. Z niedokładnych relacyi szpiegów, wysnuwano wnioski najrozmaitsze, a gęsta sieć legend i baśni oplątywała coraz bardziej postacie głównych bohaterów, tak że już trudno było je odróżnić.

Krótka tylko chwila od 10 Września do 14 Grudnia została wyjaśnioną przez anglików na zasadzie autentycznych notatek wyjętych z dziennika Gordona.

Rzadki to wypadek, żeby wojownik wśród huku strzałów sam kreślił przebieg walki, zda się, że odgadł proroczo, iż dla przyszłych pokoleń pozostanie dziejopisarzem.

Notatki były zaczęte bardzo wcześnie. Dzielny towarzysz Gordona kapitan Stewart, pisał je z początku, bezwątpienia wspólnie z wodzem, gdyż Gordon wyraźnie zaznacza: Pamiętnik Stewarta jest zarówno moim własnym.

Obejmują pamiętniki epokę od przybycia Gordona do Chartumu po dzień 9 Września, lecz są stracone dla świata, gdyż dostały się w ręce Mahdiego. Tego dnia właśnie Stewart opuścił miasto i na parowcu „Abbas" udał się do górnego Egiptu, aby ztamtąd zasięgnąć wiarogodnych szczegółów o stanie oblężonego miasta i do Anglii je wysłać. Dopłynął do Berberu szczęśliwie, lecz tam okręt uległ rozbiciu, a kapitan wraz z towarzyszami zamordowany został. Tym sposobem zginął i dziennik, który miał z sobą na okręcie.

Tymczasem, wyczekując na posiłki, Gordon notatki prowadził, a gdy doszła wiadomość, że angielska armia zbliża się do Chartumu, wysłał kilka parowców, które między innemi wiadomościami przyniosły komenderującemu jenerałowi dziennik Gordona, zakończony w tych słowach: „Jeżeli posiłki (nie żądam więcej nad 2,000 ludzi), w przeciągu dziesięciu dni nie nadejdą, miasto musi upaść... Co do mnie, zrobiłem dla honoru ojczyzny wszystko co było w mej mocy".

Wojsko angielskie przybyło zapóźno, Chartum upadł w dniu 9 Stycznia bieżącego roku.

Gordon porównywa Chartum do Sewastopolu i pod datą 9 Grudnia odzywa się w ten sposób: „Oblężenie Sewastopolu trwało 326 dni, nasze ciągnie się już 271. Rossyanie posiadali pieniądze a my ich nie mamy, nie mieli cywilnej ludności, podczas gdy jest tu u nas 40 tysięcy, mieli wolną linię do odwrotu (i wiadomości z kraju), my zaś jednego i drugiego jesteśmy pozbawieni."

Na zasadzie notatek, w których maluje się jego dusza, pragniemy naszkicować charakter człowieka, odznaczający się wybitnemi cechami na tle obecnego stulecia.

Głęboka religijność Gordona dobrze znaną jest wszystkim, a źródłem jego humanitarnych pojęć były zasady chrześcianizmu; pomiędzy spisem armat, broni, zapasów amunicyi oraz sił nieprzyjaciela, znajdujemy wyjątki ze Starego lub Nowego testamentu. Czytając te karty, rzekłbyś, że masz przed sobą nie współczesnego jenerała, lecz wskrzeszoną postać wodza purytanów.

Już prawie na pierwszej stronicy, powołuje się Gordon na słowa Chrystusa: Kto się mnie zaprze na ziemi, tego się wyprę w niebiosach. Potem mówi o męczennikach, którzy widzieli wroga w każ-

dym, kto im przeszkadzał wiarę wyznawać, wspomina dzielnych mężów z epoki Maryi i Elżbiety, mężnie broniących własnych przekonań, choć nie szło już tutaj o zaparcie się chrześciaństwa lecz rozstrzygano kwestyą mszy.

Ostatnie uwagi nasunął mu fakt, że w odleglejszych prowincyach Sudanu, europejczycy przyjmowali mahometanizm, aby ocalić życie.

Lepiej, dodaje, opuścić te szczegóły, w razie gdyby mój dziennik dostał się na widok publiczny, gdyż sądzić bliźniego nikt nie ma prawa... lecz stokroć lepiej zginąć z czystemi rękami, aniżeli wmieszać się w tłum ludzi wątpliwej wartości.

Te uwagi słusznie przez wydawcę wykreślonemi nie zostały, bo więcej niż wiele innych cechują charakter wodza, są źródłem z którego tryskają jego czyny. Gdy czytamy karty dziennika, raz tylko jeden budzi się w nas podejrzenie, że i Gordon wśród ciężkiej walki uciekł się do podstępu, który nie licuje ze szlachetnym jego charakterem i brzmi fałszywą nutą.

W liście Mahdiego do Gordona, spotykamy wzmiankę, że ostatni zabrał „dwie pieczęcie" na których było wyryte jego imię. Widocznie te pieczęcie sfałszowano w Chartumie, a potem wraz z papierami Stewarda dostały się one w ręce Mahdiego. Gdy wiadomość o zabraniu „Abbasa" doszła do Chartumu, Gordon tłomaczył się w swoich notatkach: Jeżeli prawdą jest, że Mahdi ma statek w swej mocy, znalazł tam swe własne pieczęcie, które kazaliśmy odbić, lecz które nie były nigdy używane.

Bardziej niż ów podstęp, który do pewnego stopnia tłomaczy konieczność, obciąża go proklamacya przeciw trzymaniu jeńców w Chartumie, gdyż nie godzi się z filantropijnemi zasadami, które cechowały jego umysł. Może późniejsze badania postawią ten fakt w łagodniejszem świetle. To wszystko jednak stało się dawniej, przed epoką o której mówimy; w czasie oblężenia Gordon szedł prostą drogą, jak prawdziwy bohater, nie zważając na niebezpieczeństwa rosnące z dniem każdym.

Statyn Bey, gubernator Darfuru, odstępca przyjęciem islamu ratujący życie, słał list za listem do Gordona, chcąc się z nim porozumieć. Jeden z owych listów pisany jest przez byłego oficera wojsk austryackich, po niemiecku, gdyż arabowie spalili francuzki słownik w przekonaniu, że to jest chrześciańska książka religijnej treści.

Tłomaczy się w nim z „płochego może trochę" wyznania wiary, wzmianką, że nie odebrał w domu religijnego wychowania. Gordon milczy uparcie, Statyn Bey dodaje na końcu, iż pragnie pospieszyć do Chartumu i służyć pod dowództwem Gordona, lecz z warunkiem, że ten ostatni nie odda Chartumu, bo w takim razie nieszczęśliwy Bey poniósłby śmierć haniebną.

„Tak, mówi Gordon, nie jest Spartańczykiem, kto tego może żądać!"

Grek przynosi wieść nieprawdopodobną, że kapłani i zakonice missyi w Obeyed, przyjęli wiarę Mahometa, a nawet mniszki *pro forma* zaślubiły bogatych greków.

Przychodzi czas, w którym i on zmuszony jest myśleć o poddaniu miasta. Takiemi słowy określa swoje położenie.

„Zastanawiam się i ważę, czy w razie upadku, pałac wraz z wszystkiem co się w nim znajduje wysadzić w powietrze, pozwolić by mnie ujęto, z pomocą Boga wiernie trwać w wierze, i w razie potrzeby co bardzo jest prawdopodobne cierpieć za nią. Sądzę, że lepiej wybrać to ostatnie, nie z obawy śmierci, lecz, że ona bądź co bądź, nosiłaby w tym wypadku piętno samobójstwa. Niby Maks Picolomini, Gordon czuł wzgardę dla dyplomatów. „Wyobrażam sobie, pisze, jak będą kręcili nosami, że śmiem mieć własne zdanie".

O byłym *premierze* znanym z upodobania do wysokich, sztywnych kołnierzyków, odzywa się w następujący sposób:

„Mr. Gladstone ma tutaj rywala na punkcie kołnierzyków. Mohabed bey Ibrahim wystąpił dzisiaj ze skrzydłami, obdartemi wprawdzie i w kołnierzyku wyżej oczów".

Inni dyplomaci, w znacznej części jego zwierzchnicy jak: sir Evelin Baring, mr. Egerton, sir Edward Malet obecnie poseł w Berlinie, mają także za swoje. Ale co prawda, doprowadzono go do ostateczności. Sam też zna swoje słabe strony i z dobroduszną otwartością o nich wspomina.

„Przypuśćmy nawet, że okazałem brak subordynacyi względem jej królewskiej mości i przedstawicieli rządu, lecz, taka już moja natura, na to nie ma rady... Wiem, że gdybym był szefem nie utrzymałbym się długo na mojem stanowisku. Dla takich ludzi jak Dilke, ważących każdy wymówiony wyraz, musiałem być trucizną prawdziwą.

Szczególnym jest fakt, że o swym zwycięzkim przeciwniku odzywa się bardzo nie wiele. Jak dawniej przed wojną, tak i wówczas wyprzedzają go zawsze wieści szerzące postrach dokoła, sam pozostaje niewidzialny.

Anegdotka, którą Gordon opowiada w tonie humorystycznym, że Mahdi nosi za paznokciami pieprz, by mógł w każdej chwili płakać na zawołanie, nie może być traktowaną seryo.

Charakterystycznemi są słowa pisane 13 Września:

Wieść o zbliżaniu się Mahdiego nie budzi we mnie trwogi, gdyż jeżeli nam się nie powiodło, wyprawa do Kordofanu będzie zbyteczną; w przeciwnym zaś wypadku, gdy szczęście mu sprzyja swą obecnością, rozlewowi krwi zapobiedz może. Czułem zawsze, iż jest naszem przeznaczeniem spotkać się oko w oko, zanim cała sprawa dobiegnie kresu.

Kto wie, czy owo spotkanie nie nastąpiło w ostatnich dniach oblężenia, zanim zdrada Mahometa otwarła bramy miasta Mahdiemu, synowi Abd-Allaha.

Od chwili gdy w swym dzienniku posłał Gordon rodakom ostatnie: „bądźcie zdrowi", trzymał się jeszcze kilka tygodni dłużej, niż sam uważał za możliwe w swoich obliczeniach. Jednakże pomoc przyszła już zapóźno. Wybiła straszna godzina, której już oddawna się spodziewał.

Padł jako ofiara obowiązków, dotrwawszy wiernie na stanowisku. Anglia opłakuje bohatera, a wyrzuty jakie sobie czynić jest zmuszoną potęgują jej boleść.

Nic dziwnego, że gdy rozeszła się wieść o śmierci Gordona, powstał projekt by uczcić pamięć wielkiego męża. Lecz jakie tej czci nadać formy? Człowiek, który przez całe swoje życie gardził zewnętrznemi objawami honorowych odznaczeń, który, jak się okazało po śmierci, ordery własne sprzedawał, aby nakarmić biedaków a zaproszenie na obiad ubliżeniem nazywał, twierdząc, że jest na świecie bardzo wiele ludzi nie mających kawałka chleba, tych więc zapraszać należy. Taki człowiek nigdy do tego nie wzdychał, by jego wizerunek kuli z kamienia, lub marmuru i aby w tej formie wielbiony był przez tłumy.

Przyjaciołmi Gordona byli nędzarze i biedacy, w polepszeniu ich bytu widział sławę dla siebie, czyż można lepiej złożyć cześć jego pamięci, jak prowadząc dalej dzieło, które rozpoczął?

Pomnik Gordona, na postawienie którego ofiary zewsząd się sypią, przybierze kształty „obozu" dla moralnie zaniedbanych chłopców i powstać ma tuż pod Londynem.

Projekt ten znajduje gorące poparcie, a użyteczność podobnego zakładu tak jasno jest dowiedzioną, że pojedyńcze miasta na prowincyi fundują „obozy". Pamięć wielkiego męża pozostanie na wieki w sercach rodaków, a tysiące „moralnie zaniedbanych" staną się kiedyś chlubą społeczeństwa.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Września 1885 roku.

Jakkolwiek nowe mody, ukażą się dopiero ku końcowi bieżącego miesiąca, kiedy wielkie magazyny rozpoczną wystawy swoje, można przecież odgadnąć już nowy kierunek, jaki da się widzieć jesienią. W kapeluszach uderzają nas dwie nowe cechy: naprzód piramidalna ich wązkość, a potem zastąpienie kwiatów piórami i skrzydełkami, lub też egretką ułożoną ze wstążek. Co do sukien, upowszechniają się coraz bardziej spódniczki szerokie, krajane w proste bryty. Modniarki żalą się na ten kierunek, suknia bowiem, bez sztucznych draperyi, łatwiejsza do zrobienia w domu. W staników przeważa też prostota, noszą je całkiem gładkie, ale tu już, im krój prostszy, tem bieglejszej wymaga ręki, aby go doskonale zastosować mogła do figury. Nie sądźmy jednak, by draperye na spódniczkach miały być całkiem porzucone, osoby szczupłe nie łatwo rozstaną się z niemi, tylko, że forma tych draperyi nowy przybrała charakter; tak fartuszki jak puffy, spadają długo, w grubych fałdach. Rękawy podniesione na ramieniu przyjęte dziś powszechnie; noszą je niekiedy znacznie rozszerzone w górze, niektóre zdobią epoletami z pasmanteryi. Brzeg rękawa, bardziej przybliżony do ręki, niżli w czasach ostatnich.

Z powodu chłodnych dni jakie mamy od połowy lata, dokuczliwych zwłaszcza nad morzem, gdzie przebywają dotąd wytworne paryżanki, ukazały się już w magazynach tkaniny jesienne z ciepłej wełny. Do najmodniejszych należy gęsta i ścisła kanwa, zwana *Sorel*; inna ostrzejsza jeszcze tkanina *bure*, równie jak serża i wigoń używają także wziętości.

Do takich kostiumów służą zamiast stanika ładne żakietki, przystające do figury, spięte na rząd metalowych, ładnie wyrzeźbionych guzików.

Te żakietki bywają czasami otwarte z przodu, pod spód idzie bufowana szmizetka z fularu surah, w kolorach żywych, ciemno ponsowym, złotawym i t. p., niekiedy zasiane w drobny rzucik.

Kołnierz u sukni lub kostiumu, zawsze prosty, podniesiony w górę; ta tylko dziś zaszła w nim odmiana, że w miejsce plisek etaminowych, lub kolorowych wypustek, jakiemi go brzegiem zakończano, idzie na spód płócienny angielski kołnierzyk, wybiegający w górę, na pół centimetra. Porządniej to wygląda i lepiej przypada do twarzy niż ukośna plisa, lub też zupełny brak kołnierzyka.

Do ozdoby kostiumów wełnianych, powszechnie używane; pasmanterye przerabiane paciorkami, w kolorze odpowiednim do tkaniny.

Dajemy tu opis dwóch kostiumów jesiennych, które szczególnie wpadły nam w oko.

Jeden z nich z miękkiego wigoniu w kolorze wydrowym (*loutre*). U dołu na fałszywej spódniczce, nagarnirowany w grube fałdy, wolant z *sycylianki*. Na to idzie spódniczka wigoniowa, krajana w proste bryty, płaska z przodu, rzęsisto przymarszczona od boków, u dołu wycięta w wielkie szpiczaste zęby, spadające na wolant. Stanik gładki, z karoczkiem w tyle, z przodu cokolwiek przedłużony. Z pod otwartych przodów wygląda kamizelka z sycylianki, spięta na dwa rzędy małych, metalowych guzików. Kołnierzyk do tego stojący, jedwabny, naszyty pasmanteryą. W koło na wykroju stanika z obu stron kamizelki, odwinięta płasko koronka wełniana, w kolorze wydrowym, zahaftowana paciorkami. Takaż koronka, wybiega z pod bawetu na płaski przód spódniczki. Mankiety u rękawów, przybrane stosownie odwiniętą koronką.

Inny kostium bardzo ładny z gęstej kanwy w kolorze granatowo-popielatawem, *bleu éclair*, spódniczka cała złożona z trzech wolantów sięgających jeden do drugiego, zakończonych obrębem; najwęższy wolant spada do pasa. Żakietka także sama, w tyle przystająca do figury, z przodu puszczona wolno. Z pod spodu wybiega szmizetka bufowana, z *surah* śmietankowego, w drobny rzucik granatowy. Kołnierz prosty, spięty na oksydowaną agrafkę. Rękawy rozcięte u ręki od spodu, przez rozcięcie wybiega bufka fularowa, tworząca jakby rękaw od szmizetki.

Zdarzyło nam się w tych czasach być na ślubie w jednym z wielkich kościołów. Ubranie panny młodej, jakkolwiek stosunkowo dosyć skromne, odznaczało się niezwykłym smakiem. Dajemy więc szczegółowy jego opis:

Suknia z tiulu zahaftowanego w lekki deseń, na spódniczce z *surah*, miała u dołu szeroki wolant, przechodzący przez cały przód od jednego boku do drugiego. Nad tym wolantem szła gerlandka z kwiatu pomarańczowego i myrtu. W tyle od stanu, spadał osobny bryt, tworzący długi tren, podbity fularem *surah*, przytwierdzony z prawego boku do spódniczki dwoma długiemi bukietami z odpowiednich kwiatów. Stanik długi, marszczony, zachodził nieco na biodra; poniżej przerzucona była szeroka szarfa surah, związana z lewego boku, z długo spadającemi końcami. U szyi nagarnirowana woda tiulowa, podwleczona była wstążką, związaną z boku na kokardkę. Przód stanika, zdobił płaski bukiet, szeroki w górze, zwężony w ząb u spodu. Rękawy szerokie, przymarszczone poniżej łokcia, na ramionach gerlandki z kwiatów, tworzyły epolety, także gerlandki obciskały rękaw u spodu, tworząc jakoby bransoletkę. Śliczny to, powtarzamy, ubiór ślubny, godzien naśladowania, zalecający się oryginalnością, połączony z wytwornym smakiem.

Musimy tu jeszcze zapisać ubranie jednej z pań obecnych, zapewne matki panny młodej:

Suknia do ziemi, z gładkiej materyi w kolorze *Dahlia*, kończyła się u dołu plisowaną falbanką atłasową, nad tem szedł wolant szeroki blizko na łokieć z czarnej koronki Chantilly, zakończony w górze plisą atłasową w drobne poprzeczne zakładki. Na wierzch spadała tunika roztwarta z boku, podpinana w długie draperye, rozetami z pasmanteryi, przerabianemi dżetem, w odpowiednim do sukni kolorze. Stanik długi z bawetem, tak z przodu jak w tyle, spinał się na rząd szmuklerskich guzików. Zdobił go wielki kołnierz aksamitny, otwarty z przodu, ścięty w ząb kanciasty po bokach. Z pod otworu wyglądała szmizetka tiulowa, ujęta u szyi w obróżkę aksamitną, tegoż jak suknia koloru. Z przodu stanika, w miejscu gdzie się łączył wielki kołnierz, wpięta była rozeta z pasmanteryi, przerabiana dżetem.

Pięknie dopełniał ubrania, kapelusik z koronki Chantilly, przybrany aksamitem *dahlia*, bukietem kwiatów tegoż koloru i egretką białych piór strusich, związany pod brodą na wązkie i krótkie szarfy aksamitne. Trzewiki do tego atłasowe dahlia z kokardą na pończoszce jedwabnej tegoż koloru.

S. D.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Szkoła z zapisu ś. p. Konarskiego** otwartą zostanie stanowczo w roku przyszłym i mieścić się będzie przy jednej z ulic Starego miasta. Staraniem komitetu zajmującego się założeniem tej szkoły, p. Jerzy Kühn, kierownik szkoły rzemiosł przy ulicy Jasnej, udaje się zagranicę, celem zbadania stanu i urządzeń podobnych szkół w rozmaitych miastach Europy i zdania następnie sprawy ze swoich badań.

Nie wątpimy, że korzystając z odpowiednich źródeł doświadczenia, członkowie komitetu dadzą krajowi szkołę dobrą, a fundusz na ten cel przeznaczony pomyślne wyda owoce.

*** **Nowe szkoły.** Sprawa założenia w Lublinie gimnazyum realnego wchodzi na dobrą drogę. Zażądano już od miejscowej zwierzchności szkolnej przedstawienia planów na budowę gmachu, oraz sporządzenia kosztorysu.

Obecnie, dowiadujemy się, że plan już gotowy oczekuje dalszej decyzyi.

W Barze z początkiem roku szkolnego otwarto progimnazyum czteroklasowe założone kosztem miasta.

Stary ten gród słynął od dawna szkołami Bazyljańskiemi, w których kształciło się po 500 uczniów a nawet i więcej. Ostatniemi czasy była tam tylko szkółka elementarna, dopiero obecnie zaradność mieszkańców, którzy nie szczędzili ofiar otworzyła tamtejszej dziatwie pole do pracy i nauki.

Progimnazyum mieści się w gmachu rządowym wyrestaurowanym kosztem miasta, na utrzymanie zaś szkoły zapewniono 6,000 rs. rocznie.

*** **Agentura.** Celem położenia tamy nieustannemu napływowi agentów zagranicznych, wywożących z kraju zabytki starożytności, jeden z pomysłowych ludzi zamierza otworzyć wielką agenturę antykwarską. Liczni agenci rozproszeni po prowincyi, będą nabywali przedmioty wchodzące w zakres archeologii, celem następnego gromadzenia ich w Warszawie w agenturze głównej. Ta ostatnia będzie zarazem stanowiła muzeum, oraz ognisko sprzedaży zabytków.

Podajemy te szczegóły do wiadomości osób, które mają coś podobnego na sprzedaż, wszak lepiej spieniężyć pamiątkę, jeżeli inaczej być nie może, u swoich, niż pozwalać by przeszła do obcych.

*** **Konkurencya.** Dotąd jak wiadomo, płótna i farby malarskie sprowadzano wyłącznie z zagranicy z uszczerbkiem materyalnym dla artystów, gdyż wszystkie te przedmioty, jako importowane drogo opłacać było trzeba.

Obecnie kilku malarzy założyło fabrykę rzeczonych efektów, które co do jakości nie będą w niczem ustępowały zagranicznym, a jako tańsze o połowę, usuną w zupełności współzawodnictwo z wyrobami obcemi.

Dodatni to objaw postępu na nowej, dotychczas nietkniętej drodze, powinien zachęcić zarówno kapitalistów jak i przemysłowców do konkurencyi na każdem polu z produkcyą francuzką i niemiecką, gdyż od tego zależy dobrobyt kraju naszego. To co tracimy na rolnictwie koniecznie odbić należy, kraj będący w dawnych czasach spichlerzem Europy, stać się teraz musi fabryczną i przemysłową pracownią.

*** **Okropny wypadek.** Jak dalece trudnym jest dozór nad dziećmi, jak je w każdej chwili pilnować należy, dowodem najświeższy fakt, który w Warszawie miał miejsce.

Kilka tygodni temu, u państwa M. jedno z dziatek, a mianowicie 5-cio letnia dziewczynka zachorowała na błonicę. Dzięki nadzwyczaj energicznej kuracyi, niebezpieczeństwo zostało usunięte i choroba reszcie dzieciom się nie udzieliła.

Przed parą dniami, podczas nieobecności rodziców, dzieci pozostawione bez dozoru wynalazły pędzelek i wstrzykawkę, używane przy leczeniu siostrzyczki i naśladując doktora wkładały takowe sobie w usta.

Zarodek strasznej choroby, pozostały w pędzelku udzielił się wszystkim dzieciom, jedno obecnie już umarło, a troje walczy ze śmiercią.

Notujemy to fatalne zdarzenie dla przestrogi matek i opiekunek, zaznaczając przytem konieczność niszczenia wszelkich narzędzi ratunku, pozostałych po tego rodzaju chorobach.

Nie wątpimy, że pomimo strasznej zaraźliwości, jaką błonica się odznacza, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności, rozszerzenia się jej w domu, skutecznie zapobiedz można, lecz zawsze pozostawienie przedmiotów, któremi dziecko bawiło się w chorobie wydaje nam się ryzykownem.

*** **Śmiertelność w miasteczkach** jest stosunkowo bardzo znaczną, do czego przeważnie przyczynia się brud i niechlujstwo panujące wśród ubogiej ludności izraelskiej. O tym brudzie i zaniedbaniu trudno mieć wyobrażenie, trzeba widzieć choć raz zblizka, aby uwierzyć jak dalece jest smutnym obraz warunków sanitarnych na prowincyi.

Nie mówimy już o większych miastach, gdzie są dzielnice porządniejsze, jak gdyby na pokaz wystawione, w których oddychać można, co nie przeszkadza jednak wcale istnieniu wstrętnych zaułków pozbawionych powietrza, lecz mamy w tej chwili na myśli drobne miasteczka naszego kraju.

Nikt tam ulic nie zamiata, nikt nieczystości nie wywozi, w piątek tylko po południu *porządne gospodynie* zgarniają wszystkie śmiecie otaczające domostwo, aby nie zawadzały w progu i na tem koniec.

Cóż dziwnego, że choroby się mnożą, że nie pomaga zbawienne sąsiedztwo wonnych łąk i żywicznych lasów, a śmierć sute zbiera żniwo.

Jak gdyby na domiar złego, panowie doktorzy omijają podobne miejscowości, grupując się często zbyt licznie w większych miastach, a przecież łatwo się domyśleć, że tam czeka ich pewny chleba kawałek. Nie wątpimy, że opieka światłych lekarzy może w znacznej części poprawić smutne warunki w jakich prowincyonalna ludność się znajduje, trzeba tylko aby zechcieli tego się podjąć.

*** **Jarmark na maszyny rolnicze.** Przy coraz większem zastosowaniu maszyn w gospodarstwie, gdy rolnicy przyszli stanowczo do przekonania, że obyć się bez nich jest niepodobieństwem, z inicyatywy jednego ze składników tychże maszyn, powstał projekt urządzania corocznie specyalnego jarmarku.

Przedewszystkiem jest zamiar zbadania podobnych urządzeń w Niemczech i opracowania referatu, aby na podstawie gotowych materyałów wystąpić z wnioskiem do administracyi miejskiej.

Według planu, jaki obecnie się zarysowuje, jarmark warszawski ma się odbywać w czasie jarmarku na wełnę i trwać dni kilka, celem zaś jego będzie zbliżenie producenta z konsumentem, okazanie właścicielom ziemskim materyału maszynowego, jaki w danej chwili do handlu może być przeznaczony, wreszcie ułatwienie tranzakcyi.

Podobne jarmarki odbywają się w Londynie, Lipsku, Szczecinie i innych miastach Zachodu, a wszędzie z powodzeniem i zobopólną korzyścią.

Zapewne i u nas jarmarki maszynowe przyjmą się z łatwością, tem bardziej, że obecnie skutkiem podwyższenia cła od maszyn i przewidywanego, jako następstwo tej podwyżki, rozszerzenia produkcyi maszyn krajowych, dla jarmarku otwiera się nader wdzięczne do działania pole.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Nasze sługi** obmawiane tak często w pismach codziennych jako sprawczynie kradzieży, wypadków z dziećmi i t. p., okazują się jeszcze aniołami dobroci, gdy je zechcemy z innemi porównać.

Toczą z nami walki, dochodzą do awantur, ale w każdym razie działają jedynie na własną rękę. Solidarność jest jeszcze w tych kołach środkiem wcale nieznanym, gdyż nie aplikowano go do tej pory w stosunkach z *państwem*.

Gdyby zajmowały się czytaniem, Salamanka posłużyćby im mogła jako wcale budujący przykład. Przed kilku tygodniami wszystkie tamtejsze kucharki, pokojówki, pomywaczki i t. p., urządziły bezrobocie, opuszczając gromadnie służbę z powodu, że jedna z pań chorą sługę odesłała do szpitala zamiast pielęgnować ją w domu.

Niewiadomym nam jest rezultat sprawy, ciekawej i oryginalnej do wysokiego stopnia, przypuszczać jednak można, że owe sługi częściowo przynajmniej powróciły do chlebodawców.

*** **Etykieta** na dworze francuzkim przed rewolucyą panująca, była nader sztywna. Z chwilą, gdy władca Francyi budził się ze snu, musiał stosować się do jej przepisów. Jałmużnicy, stosownie do swej rangi, podawali królowi święconą wodę i książki do nabożeństwa, tak jak znowu książęta i dworzanie wręczali mu bieliznę i odzież. W kaplicy, w towarzystwie, przy grze, na balu, w teatrze, wszędzie przepisy etykiety pilnie były przestrzegane. Podczas obiadów i biesiad specyalne reguły kazały tak a nie inaczej kosztować wino, podawać serwety, miednicę do mycia rąk. Osoby ze stanu mieszczańskiego lub szlacheckiego adresując list do królowej, winny były pisać: jej królewska mość, królowa; księżniczki zaś i książęta dodawać musieli: moja pani i władczyni.

Zanim dama jaka przedstawioną być mogła na dworze, wprawiała się w wychodzenie z pokoju tyłem i odrzucanie przytem stopą ogona płaszczu swego. Król całował przedstawioną mu damę w policzek a ona obowiązaną była nachylić się do kraju szaty królowej, jak gdyby chciała dotknąć go ustami, na co jednak królowa nie powinna była zezwolić. Księżniczki nie schylały się tak nizko jak inne kobiety.

Dla podania czegokolwiek królewskiej parze, lub w razie otrzymywania czegoś od takowej, koniecznem było zdjęcie rękawiczek.

Honorowe odznaczenia dla mężczyzn na dworze polegały na tem, iż dozwolono im siadywać w powozach króla, lub towarzyszyć im na polowaniu.

Zaszczyty podobne, niektórym dygnitarzom należały się z prawa, dla innych zaś były oznaką szczególnej łaski.

*** **Homary kanadyjskie.** W prowincyach nadmorskich Kanady, czynione są obecnie próby wywozu żywych homarów na rynki angielskie.

Z Miramichi do Anglii wyruszył parowiec Clifton, zaopatrzony w wielki rezerwoar wody i wiozący 500 sztuk żywych homarów. Jeżeli eksperyment się powiedzie, kanadyjczycy zamierzają rozwinąć na szeroką skalę handel tym produktem, tak cenionym przez smakoszów.

Handel homarami w konserwach prowadzi się w Kanadzie oddawna i przynosi znaczne zyski; istnieje tam przeszło 600 fabryk, wysyłających corocznie 16 do 17 milionów puszek blaszanych z homarami tak na rynki amerykańskie, jak i europejskie.

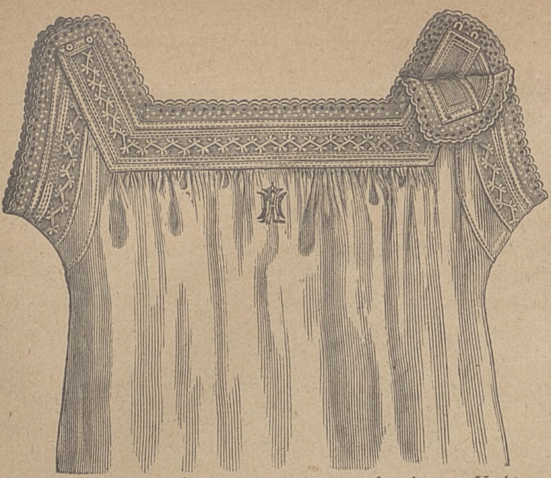
Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Helenie Przyborowskiej w Kamieńcu Podolskim. List nadszedł w czasie pobytu Redaktora na wsi, odpowiedź więc dziś dopiero udzieloną być może. W dokończeniu wydawnictwa zapowiedzianego przez „Przyjaciela Dzieci", przeszkody zachodziły i dotąd zachodzą jeszcze, że po uskutecznieniu wyjścia z druku pierwszej seryi, druga wydaną nie zostanie. Gramatyka p. Kamockiej może być użytą z pożytkiem lub Jeskego.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Августа 1885 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Dodatek.



N. 2. Koszula dzienna z prostym wykrojem. Krój na arkuszu N. IV, fig. 16—18.



N. 1. Wyszycie do koszuli ryc. 2.



N. 3. Koszula z okrągłym wykrojem dla młodej panienki. Krój stanu patrz N. VI, fig. 16; krój karczka i rękawków fig. 19—20.

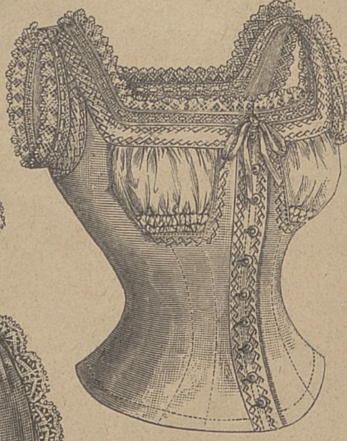


N. 4. Koszula dzienna dla chłopczyka lat 5—7. Krój i opis na arkuszu N. V, fig. 21—23.

Opis do N-ru 36.

(Dokończenie.)

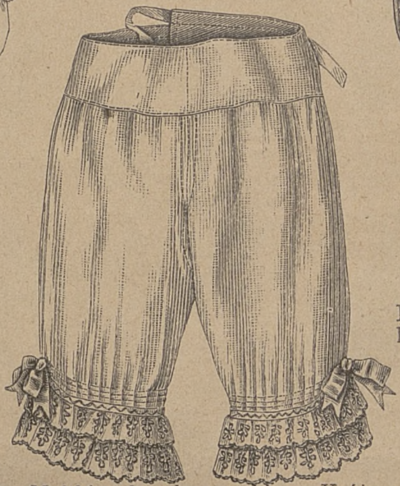
N. 5—6. Staniki pod suknie. Krój na dodatku z formami N. II, fig. 7—10.



N. 5. Stanik na gorset.



N. 6 Stanik na gorset. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—10.



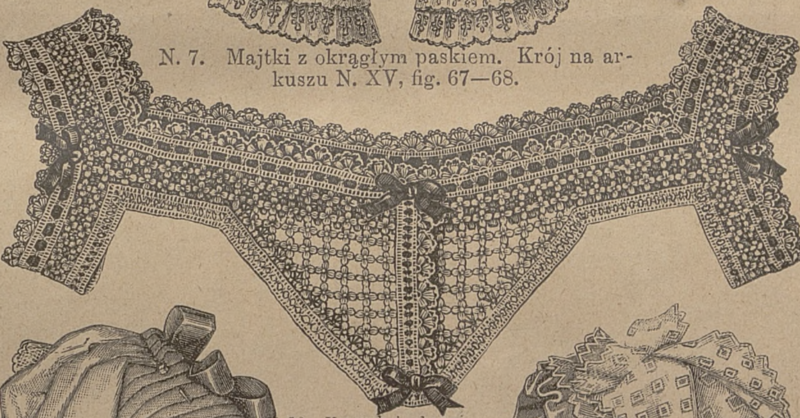
N. 7. Majtki z okrągłym paskiem. Krój na arkuszu N. XV, fig. 67—68.



N. 8. Fartuszek z kolorowym haftem i kratką ażurową. Patrz ryc. 16.



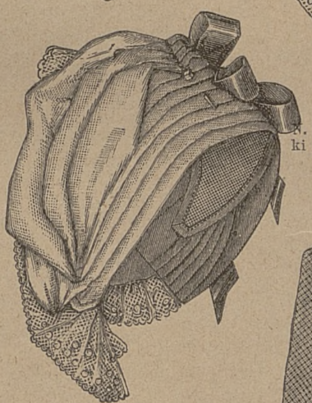
N. 9. Koszula nocna dla panienki lat 8—10. Krój i opis na arkuszu N. VI, fig. 24—29.



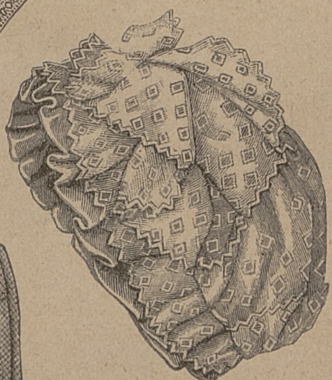
N. 10. Karczek i rękawki szydełkowe. Patrz ryc. 11—12.

N. 5. Stanik spodni z materyału wełnianego.

Ryc. 5 przedstawia stanik odrobiony z białego kaszmiru, wyszyty jedwabiem białym, ściegiem cierniowym. Wykrój stanika i pachy oszyte są wstawką szydełkową lub z koronki nicianej, 7 cent. szeroką, przewleczoną wstążeczką do przyciągania, przystębnowaną wązką listewką z kaszmiru, i oszytą w górze koroneczką $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką. Brzegi przodów podszyte są listewkami 3 cent. szerokiemi i zapięte na guziki. Do tego stanika dodane są na piersiach części garnirunkowe, na które wycina się w przodach otwory 11 cent. długie, w górze 13, u dołu 8 c. szerokie, w górze na 5, u dołu na $7\frac{1}{2}$ c. odstąpione od zapięcia; otwory te zapełniają 18 cent. szerokie kawałki kaszmiru, zmarszczone i wszyte sposobem wskazanym na ryc. 5.



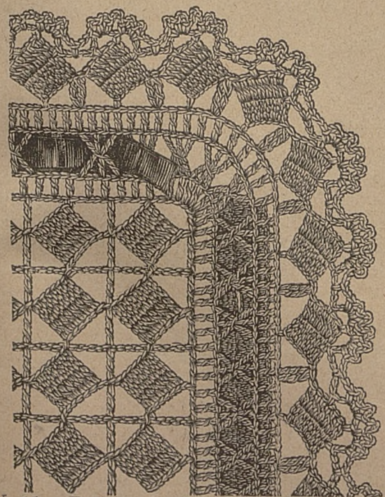
N. 13. Czepeczek muślinowy. Patrz fig. 79.



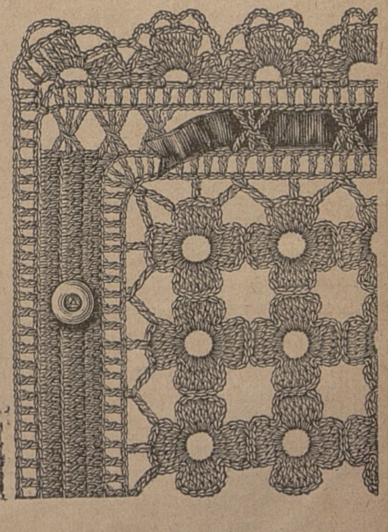
N. 14. Czepeczek ranny z kolorowego batystu.



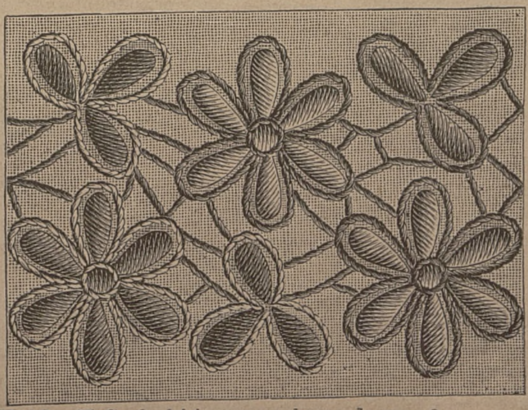
N. 15. Kaftanik nocny dla dziewczynki lat 6—8. Krój na arkuszu N. IV, fig. 62—66.



N. 11. Robota szydełkowa na karczek ryc. 10.



N. 12. Robota szydełkowa na karczek ryc. 10.



N. 16. Haft płaski i sznureczkowy do ryc. 8.

N. 6. Stanik spodni z perkalu lub półbatystu.

Forma N. II dopasowana jest na dość pełną figurę. Model do ryc. 6, odrobiony z półbatystu, miał szwy podwójne. W przody wstawione były części garnirunkowe, oznaczone cienką linijką na fig. 7, na które zeszywa się ze sobą paski haftowane $1\frac{1}{2}$ cent. szerokie, i wstawki z walensienki $2\frac{1}{2}$ cent. szerokie. Garnirunek ten zakończony jest u dołu i z boku paskiem haftowanym, który w dalszym ciągu przechodzi koło wykroju pleców. W górze z przodu dana jest jedna wstawka koronkowa, jeden szlaczek haftu, dalej wkoło przyszyta wstawka przewleczona wstążeczką do przeciągania; zakończenie stanowi koroneczka $1\frac{1}{2}$ cent. szeroka, którą oszywa się także wykrój pachy.

N. 7. Majtki z paskiem okrągłym dla dziewczynki lat 5—7. Forma na dodatku z krojami N. XV. fig. 67—68.

Majtki ryc. 7 odznaczają się tą odmianą w kroju, że brzeg dolny nie jest prosto obcięty, ale do szwa wewnętrznego skośnie przydłużony, bo tym sposobem w noszeniu nie wydają się poderwane w górę z tej strony. Dolny brzeg majtek składa się w drobne, kilka razy przestębnowane fałdki i oszywa wązką listewką, która przykrywa zarazem przyszycia dwóch haftowanych falbanek. Podwójny pasek kolisty jest w górze przestębnowany do nawleczenia tasiemki, a udołu zapięty na guzik.

N. 8 i 16. Fartuszek ozdobiony haftem kolorowym, kratkami ażurowemi i koronką niciauą.

Przy fartuszku płóciennym 60 cent. długim a 49 szerokim, szlak dolny 21 cent. szeroki, składa się z dwóch szlaków kolorowego haftu 5 i 3 cent. szerokich, z 3 pasów kratek ażurowych, 4 i 2 cent. szerokich i obręba $4^1/_2$ cent. szerokiego. Z jednego boku, w odstępie 13 cent. od brzega, wszyty jest wzdłuż węższy szlak haftu, zakończony po brzegach węższemi paskami kratek. Brzegi boczne i napierśnik ozdobiony haftem i kratkami, oszyte są 5 cent. szeroką nicianą koronką, a dół takąż koronką, 7 cent. szeroką. Brzeg górny 3 razy przemarszczony do 18 cent. szerokości, złączony jest 2 cent. szerokim paskiem z napierśnikiem 17 cent. długim a 21 szerokim, przymarszczonym u dołu do 13 cent. Deseń szerszego szlaku, haftowanego różnokolorową bawełną do prania, dajemy na ryc. 16.

N. 9. Koszula nocna dla panienki lat 8—10. Kroj i opis na dodatku z formami N. VI, fig. 24—29.

N. 10—12 i ryc. 27 w N. 36. Karczek szydełkowy do koszuli dziennej.

Karczek, ryc. 10, składa się z małych szydełkowych rozetek, które robi się rzędami tam i napowrót idącemi. Zacząć rząd 10 o. łańcuszka, złączonemi na kółko, dalej 4 o. łań. w miejsce słupka podwójnego, *, 2 sł. podwójne, 4 o. pow., przyrobione 1 o. śc. do kółka; 4 o. pow., 5 sł. pod., 4 o. pow., 1 o. śc., 4 o. pow., 3 sł., które kończą górną połowę rozety. Drugą rozetę zaczyna się 4 o. pow., po których kółko z 10 o. pow., dalej 4 o. łań. w czwarte początkowe pow. w miejsce słupka, dalej powtarzać ciągle od gwiazdki. Na końcowy listek w każdym rzędzie robić w miejsce trzech 5 sł. podwójnych; dalej w rzędzie powrotnym 4 o. pow., 1 o. śc. 4 o. pow., 5 sł. (zawsze podwójnych), 4 o. pow., 1 o. śc., 4 o. pow., 2 sł.; 1 o. łańcuszkowe w ostatnie z 4 pow., zastępujących słupek, na zakończenie rozety. Na dalsze rozety robi się 2 sł., 4 o. pow., 1 o. śc., 4 o. pow., 5 sł.: 4 o. pow., 1 o. śc., 4 o. pow., 2 sł. i 1 o. śc. w ostatnie z 4 pow. na zakończenie rozety. Każdy rząd rozet zaczyna się oddzielnie, dopiero w obrobieniu idącym napowrót łączy się z rzędem poprzedzającym. Na każdą połowę karczka z przodu, trzeba dwóch rzędów z 15 rozet, a na plastron po 8 rzędów zwężanych od 8 do dwóch rozet. Na rękawki trzeba dwóch rzędów robionych wkoło, w każdym po 30 rozet, a na tylną część karczka także dwóch rzędów z 30 rozet. Wszystkie części karczka złączone są ze sobą w robocie, jak to wskazuje ryc. 10. Wykończenie karczka górne i dolne wskazuje dokładnie ryc. 12. Próbkę górnych ząbków dajemy na ryc. 27 w N. 36. Z przodu przy prawej połowie karczka daje się taki szlaczek jak u góry, a z lewej 3 rzędy słupków nie przedzielanych do przyszycia guzików. Inną próbkę karczka robotą szydełkową, dajemy na r. 11.



N. 17. Ubranie z krótkim paletocikiem. Krój draperyi patrz na arkuszu N. XX, fig. 76—77. Krój paletota patrz ryc. 12 w N. 18. — N. 18. Ubranie małej dziewczynki. — N. 19. Suknia z krótkim stanikiem i paskiem bawetowym. Krój N. IX, fig. 38—44a. Patrz ryc. 29. — N. 20. Suknia z draperyą koronkową. Patrz ryc. 21. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 75. — N. 22. Suknia z wywiniętą draperyą. Patrz ryc. 36, Krój na arkuszu N. VIII, fig. 36. — N. 21. Suknia z koronkową draperyą. Patrz ryc. 20. — N. 23. Ubranie małej dziewczynki. Patrz ryc. 31. — N. 24. Suknia z szarfą. — N. 25. Suknia z krótką draperyą.

N. 13. Czepeczek ranny muślinowy. Zobaczyć czepeczek płasko rozłożony na fig. 79.

Fason czepeczka stanowi czółko ze sztywnego tiulu, mające w brzegu przednim 32 cent., z tyłu 29 cent. długości, 6 cent. środkowej, a 1 cent. brzeżnej szerokości. Czepeczek robi się ze skośnego kawałka muślinu, 115 c. długiego a 54 szerokiego, w jednym końcu na 73 cent. długości spiczasto ściętego i, odtrąciwszy ten róg spiczasty, złożonego w fałdy do 8 cent. szerokości. Koniec spiczasty oszyć trzeba gładko koronką 9 cent. szeroką; drugi nie ścięty koniec podwija się na 10 cent. do spodu i przyszywa na czółku. Następnie koniec luźny koronką oszyty upina się w ten sposób na części sfałdowanej, ażeby tworzył na środku i rogach czółka małe bufy, widoczne na ryc. 13 i fig. 79. Kokarda z kolorowej atłasowej, $2^1/_2$ cent. szerokiej wstążki, przypięta z boku i ozdobne szpilki stanowią ubranie.

N. 14. Czepeczek ranny z batystu w drobny rzucik.

Czółko ze sztywnego muślinu, mające 5 cent. szerokości, 34 cent. przedniej a 12 tylnej długości, garniruje się najpierw w sposób wskazany na ryc. 14 riuszą z podwójnie złożonego gładkiego batystu. Na ruszę zachodzi fałdowana falbana z deseniowego batystu, którą tylny brzeg czepeczka oszywa się mniej fałdzisto, a następnie wywija ją się w górę. Denko podłużnie okrągłe, w środku ściśle, w końcach lekko przymarszczone, przyszywa się szwem odwracanym na czółku. Garnirunek stanowi podłużny kawał batystu z zaokrąglonemi końcami, w środku poprzecznie przemarszczony i upięty w sposób wskazany na ryc. 14.

N. 15. Kaftaniczek nocny pikowy, dla panienki lat 6—8. Forma na arkuszu z krojami N. XIV, fig. 62-66.

Do karczka z podszewką wszywa się przody w podwójną kontrafałdę złożone, a plecki zmarszczone. Obrąb zwierzchniej połowy przodów, pasek przy wykroju szyi, z tyłu 3, z przodu 2 cent. szeroki, i mankiety oszyte są wązkim szlaczkiem haftowanym.

N. 17. Suknia z krótkim paletocikiem. Krój draperyi i plecy sukni patrz na arkuszu N. XX, fig. 76, 77. Krój paletocika patrz ryc. 12 w N. 18.

Uszyta z jasno popielatego wełnianego materyału, przybrana 13 cent. szerokiemi szlakami ponsowemi w pasy do cieniu. Fig. 76 daje wymiar draperyi i oznacza fałdy podpięcia; lewy brzeg boczny sfałdowany do 50 cent. przyszywa się w górze przy tylnym brycie sukni; brzeg górny sfałdowany i zaszyty w zaszewki odpowiednio do figury wszywa się do 150 z przodu i z boku w pasek od sukni; środek przodu oznaczony linią kropkowaną, zaś podpięcie boczne wskazują kropki i krzyżyki poniżej 150. Drugi koniec bryta sfałdowany w całej długości i podniesiony w górę wszywa się z tyłu do paska, poczem dolny brzeg podpięty w pukiel od gwiazdki do dwukropka tworzy boczny brzeg draperyi tylnej i zachodzi na lewy brzeg przedniego upięcia. Pozostałą szerokość tylnego bryta podpina się w kilku miejscach w fałdy a w górze zaszywa w pukiel od kropki do krzyżyka. Paletocik zachodzi prawą połową przodu 6 cent. szeroko na lewą i przybrany jest szlakiem sięgającym do wcięcia stanu. Pod szyją i w pasie dane wielkie guziki metalowe.

N. 18. Ubranie małej dziewczynki.

Spódniczka zaszyta u dołu w zakładki jest z perkalu w kratkę, bluza zaś i staniczek spodni z białej piki. Kołnierz dany z gładkiego perkalu w kolorze ciemniejszym od spódniczki.

N. 19. Suknia z krótkim stanikiem i paskiem bawetowym. Patrz ryc. 29 w N. 35. Krój na arkuszu N. IX, fig. 38—44a.

Pasek bawetowy dany przy modnym obecnie, krótkim staniku, może być również noszony przy bluzce i zapina się z tyłu pod karczkiem, jak to wskazuje ryc. 29 w N. 35. Przy sukni z deseniowego bawełnianego materyału, stanik z szerokim szalowym kołnierzem dopełniony jest kamizelką z białej piki, zastębnowaną w zakładki. Do przybrania służy pletnia 1 i 3 cent. szeroka, dana także u dołu sukni nad plisowaniem i wzdłuż bocznego wykładu tuniki, który (patrz ryc. 29 w N. 35) pokryty jest materyałem (jeżeli lewa strona jest odmienna). Na pasek i kokardę widoczną na ryc. 19 trzeba taśmę zeszyć z dwóch kawałków i wysiepać u dołu.

N. 20—21. Suknia z draperyą koronkową. Kroj na arkuszu N. XIX, fig. 35.

Ryc. 20 i 21 przedstawiają suknię czarną i żółtawą z etaminy, przybraną aksamitem i koronką. Spódnica zakończona wolantem w kontrafałdy 8 c. szerokie; bardzo suta draperya jest w połowie z materyału koronkowego, w połowie zaś z tego co suknia. Na ryc. 21 upięcie przednie, oznaczone literą *a* na fig. 35, było z szala koronkowego, tworzącego zarazem panier i żabot. Przy górnym brzegu od 1 do gwiazdki szal układa się w fałdy i 20 cent. poniżej paska przyszywa na sukni, z pozostałego końca powstaje żabot i panier; rog oznaczony kropką zwraca się pod szyję, linie proste oznaczają przemarszczenie żabotu, a część pozostała do przefałdowania między gwiazdkami tworzy panier. Z prawego boku draperya przyszyta jest aksamitnym ranwersem, pod który zachodzi także boczny bryt 6, sfałdowany podług znaków i upięty podług ryc. 21. Litera *c* na fig. 75 oznacza bryt tylny, w górze ściśle sfałdowany i wszyty w pasek, z jednego boku podpięty w dwa pukle, z drugiego do dwukropka spada gładko, niżej zaś podwinięty jest pod spód o tyle, aby u dołu w środku opuszczał się w ząb. Zwracamy uwagę na mankiet aksamitny przedstawiony na ryc. 20.

N. 22 i 36. Suknia z wywiniętą draperyą. Patrz ryc. 28. w N. 35. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 36.

Ryciny 22, 36 i 28 w N. 35 przedstawiają przód, plecy i bok sukni z surowego jedwabiu, zdobnej 11 cent. szerokiemi szlakami, haftowanemi w maszynie ponsowo i niebiesko. Stanik króciutko podcięty na biodrach ma z przodu ranwersy ze szlaków, w górze $8^1/_2$ u dołu 3 c. szerokie; plecy przedłużone w fałdziste karoczko; kołnierz stojący i mankiety z ponsowego aksamitu. Spódnica z szerokim marszczonym

wolantem, ma z jednego boku naszyty klin plisowany otoczony szlakiem, u dołu 28 c. szeroki, ku górze szpiczasto zwężony. Na fig. 36. dajemy wymiar



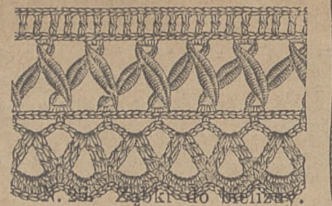
N. 30. Fartuszek formą sukienki dla dziewczynki lat 4—6. Krój na arkuszu N. VII, fig. 30—35. Patrz ryc. 31 w N. 35.

tylnego bryta, zmarszczonego w górze do 12 cent. wskazuje ryc. 36 a litera *c* na fig. 36 daje go przez połowę.

N. 24. Suknia z szarfą.

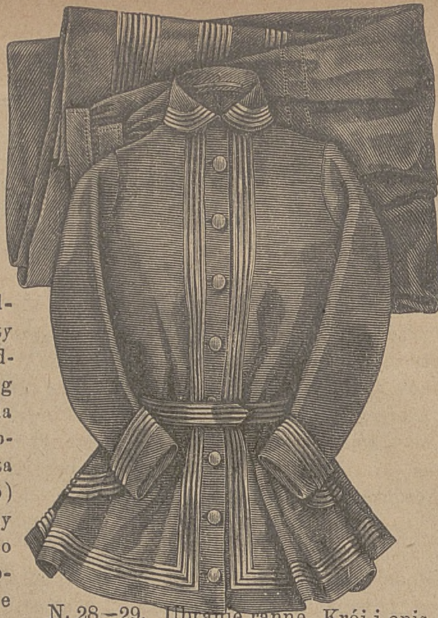
Odrobiona z materyału popielatego wełnianego, tkanego z grubych nitek ma stanik sznurowany z przodu, zdobny ranwersami z zielonej materyi, przyszytemi dużemi szmuklerskiemi guzikami. Na spódnicy sfałdowanej à la paysane, zamiast draperyi przewiązana szeroka szarfa, z materyi w kratę popielatą z zielonym, zachodzącą w górze na brzeg stanika.

N. 25. Suknia z krótką draperyą.

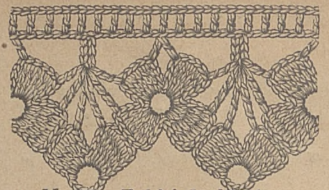


N. 26. Ząbki do bielizny.

tuniki złożonej z trzech części; *a* przedstawia dłuższy bryt boczny, wywinięty jednym rogiem w górę, składając gwiazdką do gwiazdki i sfałdowany podług znaków. Krótki przedni bryt *b* składa się w górę, dwukropkiem do dwukropka, tak ażeby część od 1 do 62 oszyta szlakiem (podług ryc. 28 w N-rze 35) tworzyła brzeg przedni *a*, brzeg dolny sfałdowany do 16 cent. zwrócony do góry wszywa się w pasek, przez co tworzy bufę widoczną na ryc. 36. Upięcie



N. 28—29. Ubranie ranne. Krój i opis na arkuszu N. I, fig. 1—6.

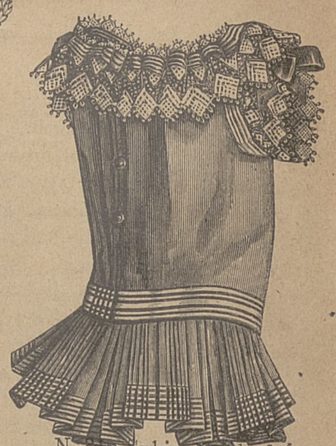


N. 27. Ząbki do bielizny.

dane nitki blado żółtego jedwabiu, przytrzymane drobnemi ścieżkami. Kontury i żyłki dane sznureczkiem złotym, łodyżka zaś obwiedziona bajorkiem stalowym.

N. 33 i 39. Kosz do robót. Patrz ryc. 18—19 w N. 35.

Postument na którym kosz



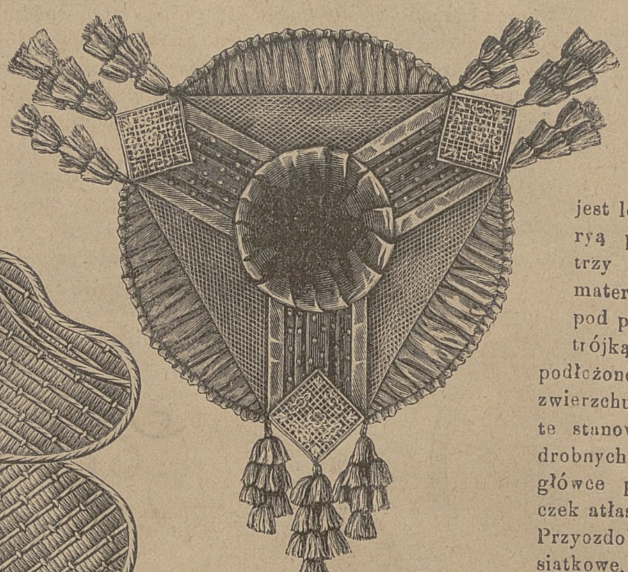
N. 31. Sukienka dla dziewczynki. Patrz ryc. 23.

żowym, listek mniejszy oliwkowym, większy piaskowym, korzonek bronzowym. Długie poprzecznie

się opiera, składa się z trzech grubych lasek bambusowych, z okuciami metalowemi na końcach; kosz zaś zastępuje wielka pasterka słomkowa, którą oddzielnie daliśmy na ryc. 33. Całe rondo pokryte jest lekko namarszczoną materyą popielatą, na której dane trzy fałdowane pasy kolorowej materyi, po 15 cent. szerokie; pod pasy zachodzą brzegi trzech trójkątów z ponsowego atłasu, podłożonego tekturką, powleczonego zwierzchu tiulem złotym; trójkąty te stanowią kieszonki do wkładania drobnych przyborów do robót. W główce pasterki dodany jest woreczek atłasowy, ściągany na sznurek. Przyozdobienie stanowią kwadraty siatkowe, wyszyte złotą nitką, podług ryc. 18—19, w N-rze 35. Kwaściki z kolorowego jedwabiu. Dla mocy na wierzchu ronda naszyty jest gruby drut okręcony sznureczkiem jedwabnym.



N. 32. Gałązka do aplikacyi. Haft renaissance.

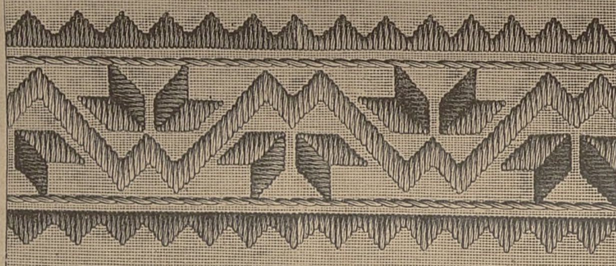


N. 33. Wewnętrzna strona koszyka do robót, ryc. 39.



N. 35. Suknia z bluzką. Patrz ryc. 34 w N-rze 35. Krój na arkuszu N. X, fig. 45—49.

Plisowana spódnica uszyta z atłasu w pasy bronzowe z żółtym, stanik zaś i draperya dane z gładkiego bronzowego atłasu. Zwracamy uwagę na

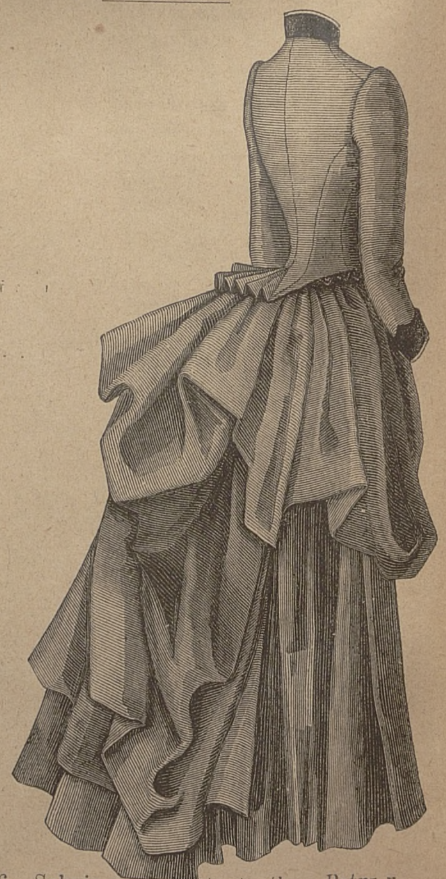


N. 34. Szlaczek haftowany ściegiem płaskim.

przybranie stanika, złożone z marszczonego żabotu, z jednej strony zakończonego ranwersem z żółtawego atłasu, przypiętym dwoma rozetami z wstążki bronzowej. Kołnierzyk i mankiety naszyte koronką.

N. 32. Gałązka do aplikacyi. Haft renaissance.

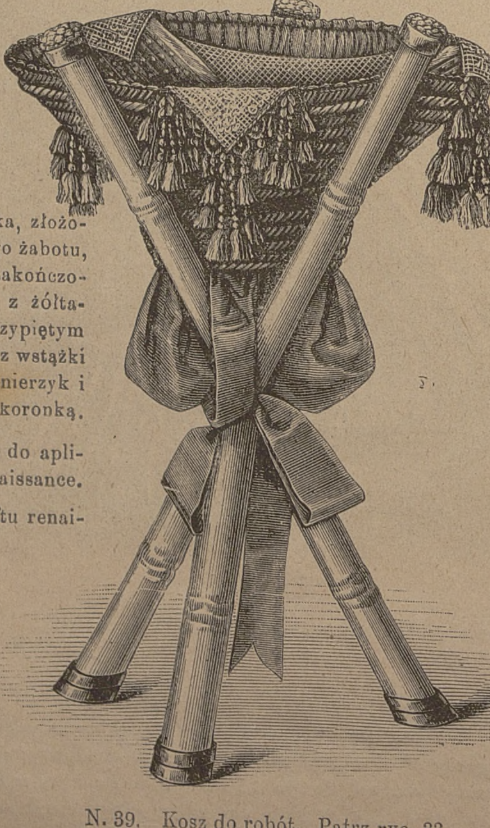
Wykonanie haftu renaissane było już wielokrotnie opisywane w Tygodniku Mód, dziś więc dajemy tylko szczegóły odnoszące się do gałązki, odpowiedniej do aplikacyi na serwety, poduszki i t p. Na tle z grubego płótna kwiat i liście mają całą powierzchnię wyszytą cieniowanym jedwabiem, kwiat ró-



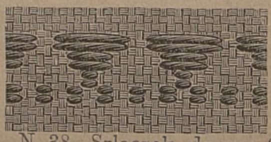
N. 36. Suknia z wywiniętą tuniką. Patrz r. 22 i ryc. 28 w N 35. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 36.



N. 37. Szlaczek do ryc. 6 w N-rze 35.



N. 39. Kosz do robót. Patrz ryc. 33.



N. 38. Szlaczek do ryc. 6 w N-rze 35.